Ogłoszenie

Autor **Wiadomość**

Dopóki ma się marzenia, dotąd człowiek jest młody … lubi mawiać moja Znajoma, która pomimo swojego naprawdę niełatwego, choć pięknego życia wciąż potrafi się młodo i dźwięcznie śmiać do wszystkiego i ze wszystkiego. Także – czy przede wszystkim – z siebie.

Marzenia o miłości szczęśliwej i (prawie bez)problemowej są zjawiskiem równie starym jak nasza kochana Planeta, dlatego truizmem byłoby się nad nimi (marzeniami) „pochylać" i „z największą uwagą" je (znaczy się: te marzenia) analizować. Ale, tu ja już dopowiadam, do marzeń owych częstokroć dołączają się wspomnienia. Zwłaszcza wszelkie wspomnienia o marzeniach…

Teraz więc przetrząsając swój wcale pokaźny lamus wspomnień (oczywiście zakodowany w „rodzimej Wieliczce") to sobie przypominam stworzonego dla siebie na użytek własny lokalnego Jean'a Marais, rycerza niezłomnego z filmów typu „płaszcza [raczej serca] i szpady".

Mając 11 czy 12 lat trudno było się realnie kochać w kimś, kto na razie żył na, nazywanym ekranem, brudnym rozpiętym płótnie kina, użytecznie i socjalistycznie, określonym mianem „Górnika". A jednak. Przy moich przekazanych mi przez kresowych Przodków genach obrońców wiary oraz Ojczyzny, „Kapitan Fracasse" względnie inny „Hrabia Monte Christo" to reprezentanci świata, w którym wtedy czułam się (naturalnie w wyobraźni i pod warunkiem, że nie świadkowałam krew mrożącym w żyłach, egzekucjom) najszczęśliwsza. I to właśnie szczęście zapewniał mi filmowy pan z ekranu obdrapanego, niemożliwie zapchlonego i cuchnącego brudnymi giczami, kina o dumnej nazwie „Górnik".

Pewnego razu wracając ze szkoły w towarzystwie „przyjaciółki z ławki" – Oli (nie wiem czemu Ola nie podobała się mojej, uważającej za wytworną, rodzinie) zobaczyłam ucieleśnienie swej filmowej wizji. W zasadzie to uderzające podobieństwo równocześnie odkryłyśmy obie. Jednak i zarazem wbrew utartemu wśród podlotków zwyczajowi, przejawiającym się m.in. niepoważnym zachowaniem , my, czyli Ola i ja, skonstatowawszy co skonstatować należało, zachowałyśmy się wobec sobowtóra artysty wielce odpowiedzialnie. A mianowicie: z dyskretnym taktem.

I tak od tamtego pierwszego spotkania, przez całą długą jesień, wiosnę oraz lato widywałam mój – trudny do określenia – (nad)realistyczny ideał jak podążał, zawsze w towarzystwie małego (około sześcioletniego) chłopaczka, swego synka, w co nie wątpiłam, w stronę Parku Kingi. Jak później się okazało: do salinarnej stołówki na obiad.
Spotykany pan, niczym jego ucieleśnienie w osobie J. Marais ze współczesnych filmów, także był ogromnie elegancki tą niewymuszoną elegancją sartre'owskiej bohemy [po pewnym czasie ze współczuciem odkryłam, iż przymusiła go do tego zwykła bieda] wędrował – niby w którymś z ambitnie egzystencjalnie egzystencjalistycznych pięknych obrazów – zielonymi oraz zielono-złotymi ulicami Wieliczki – wówczas miasta-ogrodu, pod niskim od skłębionych chmur, niebem, położywszy na ramieniu syna w nadopiekuńczym geście swą prawą rękę.
Wszelako ten mój (nad)rzeczywisty, jakkolwiek miejscowy ideał wcale nie spodobał się mojej-dorosłej-już-Siostrze, która – choć od razu zauważyła wiadomą identyczność – mimo to nazwała go „brzydkim gościem", ja zaś nie chcąc być ofiarą kpin mądralińskiej, potulnie przyjęłam jej ocenę, aby dopiero teraz – po prawie pięćdziesięciu latach - stwierdzić, że babą (prawdopodobnie) pokierowała zwykła, obrzydliwa przekora. Względnie zazdrość wobec jej szczęśliwej, choć umownej rywalki.
Bo umownie domniemana rywalka mojej-dorosłej-już-Siostry, wyjątkowo miła pani Ewa, miała urodę typu „glina", czyli: tłustawa, blada i nalana. Pracowała w wielickich Salinach [dawnej Żupie, obecnie: Kopalni] w charakterze biurowej maszynistki. Mając 21 lat wyszła za mąż za urodzonego w Czortkowie w Małopolsce Wschodniej pana Waldemara, mieszkającego w Wieliczce ze swoją piękną jak Mira Zimińska-Sygietyńska, siostrą. Wtedy, kiedy go (nieosobiście) poznałam, Monsieur był bezrobotny, to znaczy zajmował się chowaniem dwu małych synów, ponieważ powodem jego bezrobocia były inne, niż lenistwo czy konfliktowość, względy, przy kolacji opowiadał mój Tata (przez nikogo zresztą z domowników nie indagowany).
Mnie jednak – pomimo bezdyskusyjnego ubóstwa - domowy świat państwa Waldemarostwa zdawał się być wyjątkowo pociągający: mała, ciepła i przytulna łupina mieszkalna w słonecznych barwach schyłku lata, w ten oto prosty sposób wyobrażałam sobie ich rodzinno-rodzicielskie szczęście. Ich rozmowy serdeczne prowadzone ściszonym głosem, troskliwe spojrzenia w stronę swych śpiących skrzatów; trzymanie się za ręce i popatrywanie w oczy. Bowiem o innych, bardziej namacalnie konkretnych sprawach nie miałam w tym czasie seledynowego pojęcia, czego zresztą nie żałuję, gdyż dzięki określonej niewiedzy dłużej zachowałam czystość oraz świeżość własnych myśli.
Lecz czy tak było naprawdę jak sobie to wszystko w swoim szczenięcym czasie akuratnie wykoncypowałam, nie dam obecnie głowy. Po minionym lecie, w pierwszą rocznicę pierwszego „z widzenia" spotkania, pan Waldemar znalazł zatrudnienie w banku ; podrastały też jego dzieci oraz ja – przy okazji – dorastając (podobno) ładniałam, o czym komunikowały mi jego (pana Waldemara) coraz dłuższe i wnikliwsze spojrzenia, jak również do Taty wypowiadane pod moim adresem bynajmniej nie najniewinniejsze komplementy.

W dwadzieścia pięć lat później „po długich i ciężkich cierpieniach" umiera pani Ewa; do 10 lat po niej – pan Waldemar; następnie: w stosunkowo niedługim okresie po odejściu Rodziców – już żonaty oraz dzieciaty pierworodny Krzyś. Między nimi jeszcze w swej drodze do Wieczności usadowiła się chora na serce Siostra pana Waldemara – pani Stenia.

Legenda francuskiego kina też umarła, na co zupełnie nie zwróciłam uwagi.

Ale w Wieliczce, ilekroć wiosną, latem i jesienią patrzę na falujące niebiesko-szarymi oraz szaro-niebieskimi cumulusami niebo i złocistą (od słońca) wielicką zieleń wciąż mam przed oczami tamtą – opisaną wcześniej – mobilną ilustrację z rozkołysanymi drzewami w tle. Oraz siebie: „jesienną dziewczynkę", która wtedy, gdy imaginowała o (nie)swoim szczęściu była przeszczęśliwa.

Wszak sama legenda nie stałaby się legendą, gdybym nie uzupełniła jej o pewne prozaiczne dopowiedzenie. Kiedy wydoroślałam na tyle, że nie musiałam się już nikogo pytać o pozwolenie lub opowiadać się każdemu ze swych spraw, moją skromną osobę zauważył pan o podobnej do mojej profesji oraz o sporym (fizycznym) podobieństwie do wcześniej opisanych „ideałów". W związku z niniejszym, właściwie nic nie powinno było stanąć na przeszkodzie na drodze do naszej romantycznej miłości. Niemniej jednak…
Dlatego, że „ten trzeci" nie całował mnie tak jak chciałam ja, więc (rozczarowana) od razu oraz niepostrzeżenie zaczęłam wymigiwać się od tej coraz bardziej kłopotliwej dla mnie znajomości, by niebawem znów (i bezboleśnie) dojść do odkrywczego wniosku, iż facetowi w namiętności zawadzała po prostu jego sztuczna szczęka. Plus ja: nie tolerująca namiastki - dziewczyna.

A z panem Waldemarem nie zamieniliśmy nigdy jednego słowa. Wymienialiśmy tylko ukłony.

*

Oczywiście puszczona w ruch celuloidowa taśma w śmierdzącym spoconymi giczołami kinie „Górnik" (w zimie zaś cuch ów dodatkowo wspomagał czadzący ogrzewacz typu kaflowy piec) nie pozwalała mi na dłuższe oraz wygodniejsze umoszczenie się w czyimś, moim zdaniem, (rzekomo) szczęśliwszym (od mojego) życiu, przy czym z wszystkich podówczas oglądanych filmów najbardziej wyobraźnię moją zaprzątały filmy radzieckie. Absorbowały choćby i z tego względu, że kreowany w nich świat oraz przedstawiani w nim ludzie różnili się diametralnie od koszmaru bolszewickiego piekła czego ja – naiwne aż do dźgającego pod żebro bólu pisklę - za nic nie chciałam przyjąć wiarygodnych informacji ofiar sowieckiego inferna do naiwnie zbuntowanej świadomości.
Bo zresztą coś demoniczno-czarodziejskiego tkwić musiało w tej propagandzie (analogicznie do rosyjskiej muzyki) skoro ten – powiedzmy wirtualny klimat totalitarnego (nie)ładu – nadal mnie wciąga, pociąga oraz odpycha.

I tu niejako symbolem moich (z patriotycznego punktu widzenia) zakazanych fascynacji jest (oraz dalej będzie) I Koncert fortepianowy b-moll Op. 23 Piotra Czajkowskiego. Mimo że napisany 42 lata wcześniej przed triumfującą bolszewią Roku Pańskiego 1917, ileż on zawiera prekursorsko imperialnych treści jakby pierwsze strzały z krążownika „Aurora"!

Najpierw fortepian niczym wzmagający się, wiejący z wszystkich czterech stron świata, wicher wraz z bardziej rozdętą niż rozwiniętą orkiestrą, mobilizującą wszelkie wykorzystane w niej, instrumenty. Wśród nich: dwa flety poprzeczne, dwa oboje, dwa klarnety, dwa fagoty, dwa rogi (waltornie), dwie trąbki, dwa puzony tenerowe, jeden puzon basowy, kotły, kwintet smyczkowy (pierwsze oraz drugie skrzypce, altówki, wiolonczele, kontrabasy). Dobrze, że przynajmniej zapomniano o organach, harfie oraz cytrze!
Kolorystyka symfonii jak sztych w kolorze sepii, jedynie z lekka podkolorowany wypłowiałymi akwarelami, gdzie przedstawiane nań postaci (zwłaszcza kobiece) wystrojone są podług szablonu rosyjskiej elegancji, to znaczy z przewagą bieliźnianych riuszek oraz koszulowo nocnych koronek nawet tam, gdzie owe riuszki i nocno koszulowe koronki nie mają prawa egzystencji, a przy okazji (celem podkreślenia bogactwa) uzupełnione błyskiem nader widnej, znaczy się topornej, złotej biżuterii. Pod ilustracjami należyte, przypominające zasuszone pluskwy, podpisy grażdanką.

Inne cechy: połączony z dramatycznym pierwiastkiem, patos; przebogata melodyczna inwencja, krańcowa wyrazistość i witalność. Również (nierzadko dopingowany siwuchą) dynamizm.

Taki na przykład fizycznie przypominający Wołodię Putina, Prokofiew albo o aparycji przyczajonego furiata (te zaciśnięte niby udające nieżywe nicienie, usteczka i szklące się złowrogo okularki) niejakiego tawariszcza Dmitrija Szostakowicza przy I Koncercie fortepianowym b-moll Opus 23 autorstwa neurotycznego Pietii Czajkowskiego to niemalże nędzni naśladowcy melodycznych piotrogrodzkich osiemnastowiecznych monumentów usiłujący poprzez taki przykładowo drapaczowy i chmurzasty warszawski Pałac Kultury odtworzyć czar Carskiego Sioła. Ja w każdym razie: czy wtedy, kiedy przy obojgu pracujących rodzicach, siedząc sama w domu z nudów słuchałam, ilustrowanych muzyką Czajkowskiego propagandowych audycji z życia Wielkiego Brata, czy teraz, do niczego już nie zmuszana, na dźwięk tego jednego z najbardziej znanych fortepianowych koncertów na świecie, z jednakowym zachwytem kontempluję swoją trudną do zdefiniowania i niemożliwą do opisania – nostalgię. Widzę wiatr: ciemny, zimny oraz miękki; wiatr cudownie złowieszczy. Czuję zapach konwalii, leśnych storczyków, fiołków nocnych; dotykam szorstkiej ziemi, futra soboli, piór łabędzich. Sadowię się w przestrzeni na pufach obłoków. Uciekam w sen z otwartymi oczami. W białe odpływam noce Sankt Petersburga, gdzie straszy nadal duch Pikowej Damy.

**

Opisane wyżej (nie)realia w osobistym odczuciu posiadały wprawdzie jedną, ale najważniejszą, gdyż trudną (nawet przy ówczesnej mojej nadtolerancji) do zaakceptowania, skazę. A mianowicie: wszędobylskie i wszechwładne podobizny towarzysza Iljicza, który nie wiedzieć czemu osobliwie wzbudza(ł) moją niczym nieuzasadnioną antypatię. Bardzo za to był awantażowny Stalin Józef, szczególnie umieszczane na lokomotywach jego podobizny (zawsze w otoczeniu świerkowych gałęzi) w gorące dni trzeciej dekady lipca.

Kiedyś swoimi wrażeniami podzieliłam się z Tatą…

Zaś akurat 22 lipca w Wieliczce było dopiero świętem, którego Rodzice – w przeciwieństwie do mojej-prawie-dorosłej-Siostry oraz mnie – nie mieli ochoty obchodzić, gdy tymczasem w Parku A. Mickiewicza w najlepsze grała salinarna orkiestra dęta i tańcowały – jak umiały - spocone pary; w bufecie nad stawem sprzedawano (nie tak znów najtaniej) różne pyszności typu bułka wodna z pozieleniałą kiełbaską (za nic nie chciano mi kupić tej kanapki, choć z powodu mojego permanentnego jadłowstrętu przecież należało się cieszyć, że mała ma apetyt!), twarde herbatniki pod tytułem petit-beurry, ciepłe ciemne piwo i oranżadę. Także miętowe oraz owocowe dropsy.

Jakkolwiek idea lipcowego święta była mi całkowicie obojętna, nie była wszak obojętną jego pogodowa otoczka, czyli powoli jesienniejące lato i porysowane przez spadające gwiazdy lustro nocy, w którym – szczególnie podczas pełni – niczym prawdziwa kobieta próbowałam duchowo się przeglądać. Nie wiem, czy ktokolwiek i kiedykolwiek widział te moje odbicia, ja w każdym razie już powoli i z pewną rezygnacją szykowałam się na powitanie przyszłej starości (nawet we wczesnym dzieciństwie intuicja harmonijnie reagowała) dlatego więc podczas każdego lipcowego festynu Niepodległości (z)dradzieckiej, oddychając wonią kurzu, rosy i kwitnących floksów, roiłam o wielkim i nieprzemijalnym (osobistym) uczuciu w ciepło mroczniejących barwach wczesnej jesieni.

Albowiem moja wykreowana wizja „Miłości" nie dotyczyła wyłącznie mnie, ponieważ obejmowała ona także wszystkich wartych owej miłości. Miłości między innymi utrwalonej w poetyckich piosenkach dwu karcianych dam polskiej piosenki: Sławy Przybylskiej (damy trefl) i Hanny Rek (damy pik).

Zazwyczaj ta wyśpiewana przez nie wielka miłość jest miłością trudną, upartą, symbolicznie uciszoną, refleksyjnie minimalistyczną, ciemną jak samotnie bezsenna noc listopadowa o trzeciej nad ranem. Za serce łapie bolesnym pięknem przyszłych „dni w kolorze śliwkowym"; snuje się nicią dymiących ściernisk lub strzępkiem melodyjki starej harmonii. Pachnie więdnącą różą, usychającym liściem poziomki; wreszcie białą chryzantemą, znaczy się śmiercią. Śmiercią łagodną, bo Miłością sięgającą poza grób, poza Wieczność, za którą po wielu cierpieniach zapłacić mi przyszło najwyższą cenę z osobistej wolności.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

kresowa pani, dodano 23.06.2016 03:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.